
Czy jesteśmy komunikatywni?

JAK NALEŻY MÓWIĆ...

Kiedyś poproszono mnie, abym we wspólnocie Odnowy w Duchu Świętym wygłosił konferencję na temat uzdrowienia wewnętrznego. Przygotowałem się bardzo sumiennie. Przeglądałem różne artykuły, notatki, wypisywałem ważniejsze cytaty, aż wreszcie stanąłem naprzeciw zgromadzonych trzydziestu osób. Były one w wieku od lat „nastu” do kilkudziesięciu, pochodziły z różnych środowisk i posiadały różne wykształcenie (w większości średnie i zawodowe).

Chciałem zacząć bardzo kompetentnie, toteż jako pierwsze wypowiedziałem zdanie: „Igor Caruso – wiedeński psychoanalityk powiedział kiedyś, że podstawowym dynamizmem duszy jest absolutyzacja”. Jeden z uczestników, rzecznik z zawodu, zareagował natychmiast: – A co to *znaczy*? W tym momencie uświadomiłem sobie, że niezbyt dobrze dostosowałem swój język do potrzeb tych ludzi.

„ŚRODEK PRZEKAZU JEST PRZEKAZEM”

Żyjemy w świecie, który jest zdominowany przez media. Praktycznie nie ma dnia, w którym nie docierałyby do nas różne informacje czy to z radia, telewizji, gazet, czy też od usługowej sąsiadki, która chce nam obwieścić najnowsze wiadomości z naszej ulicy. Fachowcy od społecznych środków komunikowania wynaleźli nawet określenie, które znakomicie oddaje naszą dzisiejszą sytuację. Żyjemy w infosferze, w której następuje nieustanna wymiana wiadomości. Jedne są dobre, inne złe, a wszystkie wypowiedziane są w konkretnym języku. Okazuje się, że sam język przekazu nie jest wcale obojętny dla treści, które artykułuje. Nieprzypadkowo Mac Luhan wypowiedział niegdyś niezwykle zdanie, że „sam środek przekazu jest przekazem”. A więc ważne jest nie tylko to, co się podaje innym, ale i w jaki sposób się to robi. Zły sposób przekazu, może sprawić, że nawet najciekawsza informacja nie zostanie dobrze odczytana. Wobec całego tego komunikacyjnego zgieł-

ku staje dziś Kościół. Wiele zależy od tego, czy jako chrześcijanie będziemy komunikatywni. O tym, że nie jest to wcale problem nowy, przekonuje nas Thomas Merton, który w wydanej, przeszło pięćdziesiąt lat temu autobiografii pisał: „Jestem pewien, że dużo ludzi jest – a przynajmniej nazywa się „ateistami”, bo odpychają i obrażają ich określenia Boga obleczone w fałszywe i metaforyczne zwroty, których nie mogą zrozumieć ani sobie wytłumaczyć. Odrzucają takie koncepcje Boga nie dlatego, że Nim pogardzają, ale może właśnie dlatego, że żądają doskonalszych pojęć o Nim niż te, z którymi się powszechnie spotykają. Te pospolite obrazowe pojęcia o Bogu nie są w stanie ich zadowolić, odwracają się więc, myśląc, że innych nie ma – albo jeszcze gorzej, odrzucają filozofię na tej podstawie, że ona jest jedynie przedziwnym nie znaczących słów splecionych razem dla usprawiedliwienia zawsze tych samych starych fałszów”¹.

UWAGA: JEZYK HERMETYCZNY

Kiedy mówimy o jakiegokolwiek komunikacji (katecheza jest jej szczególnym przejawem), musimy wziąć pod uwagę trzy elementy: nadawcę, odbiorcę (lub grupę odbiorców) oraz sam komunikat. Nie będąc rozwodził się nad

tym, kim powinien być nadawca w przypadku katechety. Skoncentruję się przede wszystkim na wymogach dotyczących samego komunikatu.

Przykład, którym posłużyłem się na początku ukazuje sytuację, w której komunikat nie został odpowiednio dostosowany do słuchaczy. Słownictwo, którego użyłem, stanowiło barierę nie do przebycia przynajmniej dla części z nich. I tu dochodzimy do pierwszego problemu w komunikacji hermetycznego języka. Ks. Jan Twardowski w swoim „Niedzienniku” przytoczył anegdotę o tym, jak pewien profesor teologii w zastępstwie prowadził katechezę dla przedszkolaków. Chodził wśród dzieci, głaskał je po głowie i powtarzał: „Pamiętajcie: Bóg jest transcendentalny!”

Żeby nie opierać się tylko na anegdotach, przytoczę fragment pewnego skryptu dla studentów teologii: „Zhumanizowane chrześcijaństwo nie akcentuje immolacji, ale jest możliwe przejście od humanizmu do chrystianizmu teocentrycznego. Duchowości zaś stanowe tworzone z faktów kulturowych są wyrozumowaną elkubracją”.

Oczywiście nam raczej nie zdarza się używać aż tak trudnego słownictwa podczas katechezy, ale możemy mieć podobne kłopoty. Zwłaszcza wtedy, gdy na studiach mieliśmy do czynienia z filozo-

¹ Thomas Merton, *Siedmiopiętrowa góra*, Poznań 1998, s. 206

fią i teologią, a więc naukami, które na ogół posługują się trudnym, specjalistycznym językiem. Język ten jest konieczny do precyzyjnego wyrażania myśli, jest uzasadniony w dokumentach Kościoła, w traktatach teologicznych, ale jeśli chcemy nawiązać kontakt z człowiekiem, który tego języka nie zna, musimy starać się przełożyć to, co mamy do powiedzenia na język prostszy, bardziej zrozumiały.

Zauważmy, że Ewangelie (zwłaszcza synoptyczne) są pisane językiem prostych ludzi, językiem zrozumiałym nawet dla rybaków, w końcu do tego środowiska w dużej mierze adresowane były ewangeliczne przypowieści. Św. Jan Ewangelista odchodzi już od tej stylistyki (np. w swoim Hymnie o Logosie), ale wynika to nie tyle z jego indywidualizmu, ile z potrzeby dialogu z osobami znajdującymi się pod wpływem filozofii greckiej. A więc to odbiorca w pewien sposób warunkuje to, jakim językiem powinniśmy się do niego zwracać.

Może powstać pytanie, czy zatem trzeba porzucić program katechezy i zmienić w jedno nieustające egzystencjalne świadectwo? Oczywiście nie. Trzeba uczyć się podawać teologię, lecz w sposób bardziej przystępny. O ile jest ona żywsza, jeśli przekazujemy nie tylko suche, abstrakcyjne prawdy, lecz także nasz wewnętrzny do nich stosunek. W końcu o Trójcy Świętej można mówić nie tylko cytując kolejne soborowe określenia, lecz także dzieląc się tym, w jaki sposób samemu dorastało się po-

przez osobistą modlitwę do odkrycia ojcowskiej miłości Boga Ojca, czy też działania Ducha Świętego w naszym życiu. Kiedy zaczynamy mówić o własnym doświadczeniu wewnętrznym, bezwiednie gubimy hermetyczny język, bowiem zaczynamy posługiwać się nie językiem intelektu, lecz językiem serca...

Oczywiście bywa też, że pewne ruchy kościelne, które wprowadzają człowieka w doświadczenie chrześcijańskie, tworzą swój własny slang. Np. w Ruchu Światło-Życie czy w Odnowie w Duchu Świętym czasem słyzy się określenia typu: „spotkałem Jezusa”, „wylanie Ducha Świętego”, „Pan mnie dotknął” itp. Określenia te jednak, choć zrozumiałe i nośne w małych środowiskach, na szerszym forum są niejasne i dlatego powinny być zastąpione bardziej komunikatywnymi pojęciami. Z problemem tym spotykamy się niekiedy w pracy redakcyjnej w LIŚCIE. Czasem naprawdę trzeba tłumaczyć jakieś świadectwo z języka „charyzmatycznego” na język polski, aby jego sens stał się ogólnodostępny.

PULAPKA DRUGA: PATOS

Kiedyś nagrywałem odcinek „Słowa na niedzielę” z księdzem, który miał skomentować Ewangelię o spotkaniu Jezusa z bogatym młodzieńcem. Ksiądz ten swoją wypowiedź chciał zacząć od słów: „Przez wieki rozlega się pytanie: co zrobić, aby osiągnąć życie wieczne?” Kapłan ten był na tyle otwarty, że mogłem

zareagować wprost: – Ja nie rozumiem tego sformułowania! To, że wielu ludzi żyjących w różnych wiekach zadaje sobie to pytanie – rozumiem, ale samo pytanie rozlegające się przez wieki – to niezrozumiałe!

Książdz ten uśmiechnął się i powiedział – A tak mi się to podobało!

Na tym właśnie polega druga pułapka – sztuczne upiększanie języka. Każdy micwa niekiedy pokusę, by choć przez chwilę być poetą, nie każdy jednak potrafi posłużyć się trafną metaforą. Czasem lepiej więc zrezygnować z tych wysiłków dla lepszej komunikatywności i precyzji naszego języka. Przytoczę jeszcze jedną anegdotę. Jakiś czas temu słyszałem kazanie, w którym kaznodzieja zacytował fragment wiersza Zbigniewa Herberta. – To piękny wiersz – powiedział po chwili – ale ja bym go trochę poprawił... Daję słowo, wersja poprawiona wcale nie była lepsza!

Częściej niż w języku mówionym problem ten powraca w tekstach pisanych. Pamiętam z jaką trudnością pisaliśmy w LIŚCIE reportaże z ostatniego pobytu Ojca Świętego w Polsce. Podniosła atmosfera, wielkość przeżyć tak nam się udzielała, że w naszych tekstach co kilka wersów wpadaliśmy w patos, który okazywał się zabójczy dla ogólnej wymowy tekstu. Na szczęście czuwaliliśmy wzajemnie nad swoimi reportażami i wykreślaliśmy wszystkie zdania zbyt emocjonalne. Okazywało się, że samo niemal suche przekazanie faktów całkowicie wystarcza do tego, by czytelniko-

wi udzielały się podobne do naszych wzruszenia. Często fakty, opisy sytuacji są o wiele bardziej nośne niż ich komentarze.

PULAPKA TRZECIA: STEREOTYPY

Podczas wspomnianego nagrania odcinka „Słowa na niedzielę” wynikała również dyskusja, czy pytanie: „Co zrobić, aby osiągnąć życie wieczne?” nie jest dziś anachroniczne, a przez to niezrozumiałe. Kto dziś, w czasie zawrotnego tempa życia, zanurzenia w doczesności stawia pytanie o życie wieczne? Być może było ono charakterystyczne dla środowiska Izraelitów w I w. po Chrystusie, ale teraz? Może zatem warto je przełożyć na język nam współczesnych? Gdyby Jezus dziś znowu chodził po świecie jak dwa tysiące lat temu w Galilei, ludzie nie tyle pytaliby Go o życie wieczne, ile o to, jak żyć, jak odnaleźć sens życia? W rezultacie dyskusji komentarz Ewangelii poszedł właśnie w tym kierunku i dzięki temu stał się zdecydowanie bliższy doświadczeniu współczesnego słuchacza.

Drogą do takiego komentowania Ewangelii jest medytacja. Komentarz staje się wtedy dzieleniem się tym, co uderzyło nas w danym tekście, a nie tylko powtarzaniem ogólnych prawd.

Bez nieustannego poszukiwania nowych sformułowań dla starych prawd, nie osiągniemy porozumienia ze współczesnymi, zwłaszcza młodymi ludźmi. Przemiany w kulturze i języku dokonują się

tak szybko, że pewne słowa, które jeszcze niedawno były powszechnie w użyciu, dziś stają się niekomunikatywne. Ważne jest to, żeby z jednej strony przywracać tym słowom prawdziwe znaczenie, z drugiej zaś znajdować ich nowe bliskoznaczniki nie skompromitowane we współczesnej kulturze.

Na przykład słowo „cnota”. Podejrzewam, że wprost wypowiedziana zachęta do cnotliwego życia wśród dzisiejszej młodzieży wywołałaby tylko politowanie. Znowu „nie nowego pod słońcem” – tak o tym słowie przed pięćdziesięciu laty pisał Thomas Merton: „Słowo „cnota” – jakież były jego losy w ostatnich trzech wiekach! To, że w krajach łacińskich nigdzie nie jest ani w przybliżeniu tak pogardzane i ośmieszane świadczy o tym, że ucierpiało najwięcej od pokieraszowania, jakiemu podległo w rękach kalwinistów i purytanów. W naszych czasach to słowo pozostawia na ustach cynicznych uczniów szkół średnich rodzaj impertynencej lepkości, a w teatrach jest wykorzystywane jako okazja do sprośnego i marnego sarkazmu.

Każdy wyśmiewa się z cnoty, której główne i powszechne znaczenie stało się teraz synonimem afektywnej pruderii na użytek hipokrytów i impotentów”². Dalej następuje opis, jak to lektura dzieł

Maritaina, przywróciła młodemu Mertonowi właściwe rozumienie wspomnianego słowa. „Teraz wreszcie dotarłem do zdrowego ujęcia „cnoty” – bez którego nie może być szczęścia, bo cnoty są właśnie siłami, którymi można zdobyć szczęście. Bez nich nie ma radości, bo one są sprawnościami, które koordynują i kanalizują nasze naturalne energie, nadające im właściwy kierunek ku harmonii, doskonałości i równowadze, ku jedności naszej natury z sobą samą i z Bogiem, stanowiącej ostatecznie istotę naszego wiecznotrwałego pokoju”³.

Być może podobny los czeka słowo „czystość”. Dla współczesnego młodego człowieka jest to słowo niemodne, przestarzałe. Za bardzo kojarzy się z zakonnym ślubem czystości. Trudniej je natomiast skojarzyć z okresową wstrzemięźliwością w małżeństwie, które korzysta z naturalnego planowania rodziny. Toteż, gdybyśmy chcieli dziś mówić o czystości wśród ludzi młodych, jestem przekonany, że byłoby nam trudno przełamać ich opór. Zwłaszcza, gdy są czytelnikami różnych młodzieżowych magazynów, z których w niemal w każdym znajduje się ankieta pod hasłem: „Mój pierwszy raz...” Kiedy jednak słowo „czystość” zamienimy np. na sformułowanie: „Integracja seksualna”, wi-

² dz. cyt., s. 240

³ tamże

dzimy jak zmienia się zabarwienie emocjonalne wokół tej samej idei. „Czyśtość”, która może się kojarzyć młodemu człowiekowi z jakimś nie zawsze zrozumiałym wyrzeczeniem, zostaje zamienione na sformułowanie, które kojarzy się z jakąś harmonią wewnętrzną, z budowaniem dojrzałej osobowości, a przez to już na pierwszy rzut oka wydaje się czymś atrakcyjnym. Oczywiście wychowanie do integracji seksualnej także zawiera w sobie element wyrzeczenia, ale samo to sformułowanie ukazuje cel tej pracy nad sobą, a to sprawia, że nie wygląda ona już tak „strasznie”.

Określenie: „integracja seksualna” nie musi się wszystkim podobać, ale jest jakąś konkretną i jak się okazuje – nośną propozycją dla ludzi młodych wchodzących w okres dojrzewania. Potrzebę pracy z językiem doskonale zauważają poeci. Ks. Jan Twardowski pisze: „Dziś cały świat jest najeżony pogaństwem. A my księża (można również dodać my katecheci, katolicy dziennikarze, politycy – przyp. CS) mówimy stereotypami, których ludzie nie rozumieją i które ich usztywniają. Ewangelizacja powinna być ożywieniem języka, którym mówimy o Bogu”⁴. Trudno zakładać, że od dziś wszyscy zostaniemy poetami i będziemy znajdować nowe oryginalne określenia na

wszystko, o czym mówimy na katechezie. Warto jednak przyglądać się nowym trendom we współczesnej kulturze, patrzeć jak to robią inni, a także samemu być w tej dziedzinie twórczym.

To, co między wierszami...

Słowa, metafory i porównania, jakimi się posługujemy bardzo wiele o nas mówią. Często bezwiednie „sprzedajemy” wizję Kościoła, która jest jego antyreklamą. Jako przykład posłużę się tekstem ewangelicznej refleksji, zamieszczonej w pewnym młodzieżowym piśmie katolickim. Zaczyna się ona następująco: „W ostatnim czasie można spotkać ludzi, którzy noszą czapki na głowie, ale daszkiem zwróconym do tyłu. Kiedy podczas wakacji zapytałem jednego z nich, dlaczego w ten sposób nosi czapkę, odpowiedział, że teraz jest taka moda. W czasie wakacji można było zauważyć skutki owej mody w postaci jaśniejszych pasków na czole. Był to dziwny, niepokojący i niebezpieczny znak przewagi mody nad rozumem. Jezus bardzo często skłaniał swoich do logicznego myślenia... itd.” Nie wiem, czy gdyby Jezus chodził dzisiaj po ziemi, miałby za złe młodym noszenie czapek daszkiem do tyłu.

⁴ Ks. Jan Twardowski, *Życie chwilą konsekracji*, w: *Pastores*, nr 1 (1), jesień 1998 r.

Podajrzewam teŝ, ŝe w tej kwestii w najbliŝszym czasie nie wypowie ŝię Kongregacja Doktryny Wiary. Mówiãc powaŝnie, taka refleksja ewangeliczna skierowana do młodych, spoŝród których wielu wlaŝnie noŝi czapki, wydaje ŝię chybiona. Utwierdza bowiem stereotyp, który chętnie lansujã ŝrodowiska laickie, ŝe Koŝciół to instytucja, w której wszystkiego ŝię zakazuje. Sam bym ŝię zastanowił, czy chcę naleŝeć do takiego Koŝciola, w którym nie wolno nawet noŝiç czapki na bakier...

Bywa, ŝe zamiast głoŝiç Dobrã Nowinę o tym, ŝe Syn Boŝy przyszedł na ziemię, aby nas zbawiç, w naszych ŝrodowiskach przekazuje ŝię złą nowinę o tym, ŝe ŝwiat jest grzeszny, ludzie źli, a my w tym wszystkim pozostajemy bezwolni i zepchnięci na margines ŝycia. Warto zastanowiç ŝię, czy czasem w tym, co mówimy do naszych ŝluchaczy nie przekazujemy podŝwiadomie naszych frustracji i niezadowolenia i czy w naszych ustach Ewangelia moŝe byç jeszcze dla kogoŝ atrakcyjna...

Cezary Ŝkalski

Autor pracuje w redakcji krakowskiego miesiãcznika LIST, jest autorem LISTowych audycji radiowych. przez rok współpracował z Redakcją Programów Katolickich w TVP przy produkcji programu „Słowo na niedzielę”. Tekst został wygłoŝony podczas Dni Formacyjnych dla młodych ksiãŝy Saletyńów w Dębowcu w 1999 r.